

Demon Mwakhm z Himalajów

Stichus solidnym, brzozowym kijem pogrzebał w dymiącym słabo ognisku, zagaszonym pospiesznie przez jakichś przypadkowych wędrowców. Gdy wyczuł coś twardego, ukląkł, pochylił się i wsadził swój ogromny, po licznych bójkach krzywo zrosnięty nos w ciepły jeszcze popiół. Zaciągnął się, kichnął potężnie, a popiół wzbił się w powietrze, odsłaniając kilka nadpalonych, drobnych kości. Wybrał największą z nich i powolnym, niedbałym ruchem podniósł do ust. Mlasnął z zadowoleniem i oblizał brudne paluchy. Siegał już po kolejną, gdy nagle zerwał się silny wiatr i targnął wierzchołkami drzew. Zaszumiały trawy, a słońce przystonił szary, nieprzyjemny cumulus. Stichus podniósł głowę i spojrzął z niepokojem w niebo. Znów go szuka! Nie wahając się ani chwili, wskoczył między połoniny, ułożył się twarzą do ziemi i oddychał głęboko, wciągając z lubością w nozdrza zapach mokrej gleby. Woń jej przenikała go całego, przyjmował ją każdą swą cząstką.

- Jestem ziemią, jestem korzeniem, robakiem w ziemi, jestem pyłem!

Pęd wiatru wzmógł się, porywał drobne listki, wzbił kurzawę... i ucichł. Chmura, która rzuciła cień na całe podnóże góry, odleciała dalej, a słońce znów wyjrzało na polanę. Stichus wstał i westchnął; tym razem także mu się upiekło. Potem podniósł swój kij i zaczął dalej schodzić ku dolinie...

W tym samym czasie w pewnej jaskini wysoko w Himalajach czarnoksiężnik Yonglam wybudzony z medytacji nagłym, przeszywającym bólem głowy, zaklął cicho pod nosem. Czuł, jakby czaszka miała mu pęknąć na pół. Po raz kolejny na marne skupiał swe myśli, by odkryć miejsce pobytu stworzonej przez siebie całą dekadę temu kreatury. Obmierzły, brudny ten potworek uciekał mu już tak długo, że wielu pogodziłoby się z jego zniknięciem, jednak Yonglam, im dłużej go szukał, tym bardziej był przekonany, że gra jest warta świeczki, a nagroda za podporządkowanie sobie poczwary o mocy tak silnej, że zdołał wyrwać się swemu stwórcy, wyzwolić od niego i pozostawać wiele lat w ukryciu, będzie wielokrotnie przerastać poświęcenia, których jego poszukiwania wciąż i wciąż się domagały. Poczyszony tą myślą Yonglam pochylił głowę i pozwolił, aby krew z nosa kapiała spokojnie, tworząc na podłodze małą kałużę, błyszczącą w księżycowym świetle srebrzystą poświatą.

Na polanie stado owiec w skupieniu skubało świeżą, zieloną trawkę. Nie zauważały wspaniałości otaczającej je przyrody: ani wysokich, poszarpanych górskich grani, spowitych hen wysoko delikatną mgiełką, ani strzelistych, obwieszonych dojrzałymi szyszkami sosen, nie zwracały uwagi na wielkiego orła szybującego wśród chmur, z góry spoglądającego na świat. Mała puchata kulka wygrzewająca się w słońcu tuż obok nich, będąca najpewniej psem pasterskim, prawdopodobnie także nie doceniała romantyzmu i monumentalności górskiego krajobrazu, jednakowoż wyglądające na bardziej zainteresowaną otaczającą rzeczywistością, zastygła w czujnej pozie, z postawionymi uszami, rozglądająca się uważnie dookoła. Owce po prostu żyły; do czasu, gdy doszło do nich dziwne zakłócenie harmonii w tej idealnej scenerii.

- Ło cie pierun, goblin! - zakrzyknął z przestraszeniem Jantoś i złapał za świerkowy drąg. Począł nim wymachiwać bezładnie, wprowadzając owce w jeszcze większe zakłopotanie; pies poderwał się i zaczął nerwowo szczeleć; intruz był jeszcze dość daleko. - A pójdziesz ty stąd, zarazo! Baruś, bierz!

Stichus nie był specjalnie zdziwiony niezbyt przyjaznym przyjęciem, jednak teraz stwierdził, że ma już dosyć takiego życia. Usiadł na jakimś przydrożnym kamieniu. Było mu wszystko jedno, a niech go zatłucze ten wieśniak na krwawą miazgę, zakończy tak tragiczny los tułacza i wyrzutka. Nie chciał wcale znaleźć się na tym najgorszym z możliwych światów, wykreowany na nim ot tak, dla kaprysu, siłą myśli nawiedzonego pustelnika, który chciał go

wykorzystać do swych niecnych i żalosnych planów wywarcia zemsty na przeciwnikach, zdobycia panowania nad światem i młodych dziewczyc, w dowolnej kolejności zresztą, podczas gdy jedyną pasją biednego Stichusa było rzeźbienie w mydle.

Pierwszy dobiegł do niego pies, lecz zamiast rzucić się na maskarę z zębami, zatrzymał się o dwie stopy od Sitchusa, obręcił się w kółko, ziewnął i przysiadł na zadzie, wydając z siebie cichutkie popiskiwanie. Był to czarnobiały, łaciaty, kudłaty zwierzak o sympatycznym wyrazie pyska, który pewnie z widoczną ulgą przyjął odkrycie, że Stichus nie jest jednak stadem wygłodniałych wilków, a teraz sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, czym w takim razie jest ten dziwny stwór. W końcu dotarł tu także Jantoś. Widząc, że Barus siedzi wpatrzony w goblina, najwyraźniej nie wyczuwając w nim zagrożenia, ten zaś nie reaguje, zdając się przebywać właśnie myślami gdzieś daleko, opuścił swą świerkową broń i podrapał się po głowie. Co prawda dziwoląg ów nie sprawiał sobą zbyt przychylnego wrażenia: niski, miał nieproporcjonalnie długie, chude, żyłaste ramiona, koślawe nogi, wielkie, sprawiające groteskowe wrażenie uszy, poźółkłe drobne ząbki, widoczne cały czas, gdyż goblin nie domykał nigdy ust, oddychając miarowo i z donośnym świstem, połamany nos, a całe ciało pokryte grubą szczecina; był zakurzony, ubrany byle jak w znoszone, oblepione brudem szmaty. Ale sam wyraz jego twarzy nawet tak prostemu chłopowi, jakim był Jantoś, wydał się niezwykle ludzki, rozumny i... niegroźny.

- Ekhm... panie goblin? - zakłopotany Jantoś próbował jakoś rozpocząć rozmowę; Sitchus gwałtownie wytrącił się ze swych rozmyślań i spojrzał na pasterza nieprzytomnym wzrokiem, nie rozumiejąc, czemu jeszcze nie zmienił się w krwawą miazgę mięsa i kości, czemu wciąż nie pozostawiono go na pokarm dla wygłodniałych górskich ptaków, gdy pierwszy raz w konfliktowej sytuacji z ludźmi nie używał swych mocy i chciał wyrzec się możliwości obrony, by w końcu rozstać się z tym łez padolem i powrócić na łono nieskończoności. Jantoś zastanowił się chwilę i stwierdził autorytatywnie, zwracając się tym razem do Barusia:
- Ano, toż szkarada mówić ni potrafi.

Pies popatrzył na niego, przechylając łepkę i natychmiast powrócił do namiętnego wpatrywania się w twarz przybysza. Jantoś, ulitowawszy się nad biedakiem, a z drugiej strony chcąc na wszelki wypadek sprawdzić, czy bestia nie jest przypadkiem wyłącznie mięsożerna, pogrzebał w swej sakiewce, którą zawsze trzymał u pasa i wyciągnął świeżutki oscypek. Wręczył go goblinowi, pokazując na migi, że to jedzenie. Stichus wziął do ręki oscypek, wyważył, wymacał dokładnie, szukając nierówności. Konsystencja przypadła mu do gustu - miększe od mydła, ale powinno się nadać! - więc wyjął zza pasa dółtko i zaczął energicznie rzeźbić w serze. Po chwili przybrał on kształt czworonożnego towarzysza Jantosia. Stichus z uśmiechem wręczył pastuchowi figurkę. Jantoś był zachwycony! Na targu w miasteczku ludzie oszaleliby na punkcie takich genialnych, jadalnych statuetek! Wietrząc dobry interes, dał znać gwizdem Barusiowi, by zapędzał owce do zagrody, objął goblina ramieniem, podniósł z kamienia i prowadził do swej górskiej chaty, tłumacząc zawilości popytu i podaży, z którego to wykładu tamten zdawał się nie rozumieć ani słowa, nie wiedząc za bardzo, o co teraz chodzi temu dziwnemu pastuchowi; najpierw chciał go zabić, teraz zaś zaprasza go w gościnę...

Jagoda, gdy zobaczyła straszdyło, które jej małżonek wprowadza do domu, wpadła w prawdziwy szal.

- Dopieroś co skończył dokarmiać tego zasranego niedźwiedzia, który o mało co nie odgryzł ci tego głupiego łba, co się zresztą ze szkodą dla wszystkich stało niezmierną, a już mi tu nową poczwarę sprowadzasz?! Co z nim, też skrzydło ma złamane, jako i

ten oreł, któregoś mi tu w zeszłym roku przytargał, o mało nie przyprawiając mnie o utratę oka, co mi to bydłę wybóć chciało dziobem pod zasłoną zmroku?!

- Jaguś, to nie tak, zrozumże ty raz dobrze moje zamiary, to jest nasza przepustka do bogactwa. Z niedźwiedziem nie wyszło, bo on nieusłuchany był i żonglować nauczyć go było nie sposób, ale obiecałem ci, że skończy się wkrótce nasz niedostatek i tak będzie! Toż to on jest dla nas zesłany z niebios, patrz ty, co on tu w trymiga na łące z sera wystrugał! Widzi? Nikt takich w całej wsi wyrobić nie potrafi, ino my je sprzedawać na targu będziemy? I co, myślisz, że miastowe za takiego wywijańca paru złocisz nie dadzą?

Na takie argumenty nie umiała już znaleźć żadnej odpowiedzi, odburknęła tylko, że goblin przed wieczorem ma stąd zniknąć i poszła na podwórko jeść kurkom sypnąć. Jantoś zaś usadził niespodziewanego gościa za stołem, rozłożył przed nim dobrych parę kilogramów oscypka i zachęcił do rzeźbienia.

Sitchus opuścił dom pasterzy późno w nocy. Ludzie przyjęli go, dali mu jeść, dostał też nowe ubrania. Był szczęśliwy, pierwszy raz cieszył się tym uczuciem, pierwszy raz poczuł się ważny i doceniony, bo nawet sroga Jagna, zanim wyszedł, dziękowała mu długo i w ciepłych słowach życzyła udanej podróży. Chcieli nawet, by został z nimi na dłużej, lecz i tak zdążył już zużyć na rzeźby cały zapas zgromadzonych przez nich na handel oscypków. Westchnął pełną pierśią i zaczął wolno posuwać się w górę zbocza, stopniowo oddalając się od chałupy i zbliżając do budynków gospodarskich. Biegł za nim wesoło Baruś, którego zadaniem było odprowadzenie gościa przynajmniej do płotu. Wtem radosne myśli Stichusa przerwało narastające uczucie niepokoju. Tak, to Yonglam znów go szuka! I tak jak poprzednim razem zerwał się wiatr, a księżyc zaszedł za ciężkie, burzowe chmury. Pies zaskomlał cicho i zawrócił w stronę domostwa. Niewiele myśląc goblin podbiegł do najbliższego budynku, który szybko okazał się zagrodą dla owiec. Wszedł między nie na czworakach, powtarzając sobie w myślach: jestem owcą, białą, puszystą i włochatą, obojętną na wszystko dookoła, jestem owcą, ufna w pomoc swego pasterza, jakim by nie był półgłówkiem, jestem owcą! Drzwi obory otworzyły się, a Sitchus zadrzał z przerażenia... Lecz był to tylko Jantoś razem z Jagodą.

- Nie bójta się, to ino burza! - goblin bardzo się ucieszył na dźwięk jego głosu.

Tym razem pustelnik był wyjątkowo wściekły i nieustrasliwy. Czuł, że ten, którego szukał, był blisko, lecz znów ukrył się przed nim. Stopniowo, wysilając swój umysł, wyczuł nagromadzenie energii w owczej zagrodzie. Tym razem mu nie ucieknie! Przygotował się do teleportacji...

Jantoś podniósł się, obolały, z twardej, zimnej skały. Złapał się biedny za plecy i stękał z wysiłku, by je wyprostować. Dopiero potem rozejrzał się i spostrzegł, że zniknęła gdzieś zagroda razem z owcami i są z Jagną w jakiejś ciemnej jaskini.

- Kruczafuks, Jagoda, co to się stało, gdzie my są?
- Czekam aż się obudzisz chyba już z pół dnia, tak to się kończą wszystkie twoje durne pomysły, ani chybi musiał ten twój artysta cosik tu namajstrować, pewno ogłuszyć się dałeś, jak ten cap bezwolny, wyniósł nas do jaskini, byśmy mu nie przeszkadzali, a teraz ograbia nas z całego majątku!
- Aj, babo, przestałabyś już wymyślać te bajki i wymasowałabyś mi kręgosłup, bo chyba mnie się tam wszystko rozregulowało od tego leżenia na mokrym kamieniu.

Yonglam wyłonił się spod pojedynczej arkady, której kolumny ozdobione były rysunkami wyobrażającymi tajemnicze bóstwa i złe duchy, zapalił wszystkie światła i spojrzął na

sprowadzone istoty. Nigdy wcześniej nie zdołał dokładnie przypatrzeć się stworzonemu przez siebie demonowi, bo ten od razu uciekł, nie pozostawiając po sobie śladu. Umiał co prawda rozpoznać wibracje jego energii w powietrzu, lecz po takim wysiłku, jakim była teleportacja na odległość tysięcy mil, posiadał swe moce w śladowej tylko ilości i nie umiał stwierdzić w żaden sposób, czy skierował do swej kryjówki właściwą postać. Poza tym był tak ucieszony perspektywą bliskiego zdobycia panowania nad światem, że nie zwracał uwagi na takie drobnostki, jak niepozorny wygląd Jantosia.

- Witaj, demonie Mwakhm, któryś powstał z jądra Trhwym, za pozwoleniem Pwitswy, a dziś przybywasz tu ze swą niewolnicą!
- Jantoś, ki czort, czego un chce od ciebie, w co za kabałę żeś nas znów wplątał?!
- Cichaj, babo, zaraz się wszystkiego dowiem! - syknął na Jagodę i zwrócił się do pustelnika. - Witojcie, bracie, powiedzcie mi, co to za miejsce?
- Jesteś, o demonie Mwakhm, któryś powstał z jądra Trhwym, za pozwoleniem Pwitswy, w mej prywatnej świątyni Otkworth, bogini zemsty, natchnionej duchem Jnikwhy!
- Oj, coś mi świta, że by się tu zdał nam translator. - westchnął Jantoś i podjął kolejną próbę dogadania się z Yonglamem. - Skoro i tak ni ma raczej szans, bymy jako tako do porozumienia doszli, bo ni w ząb ja z żoną moją nie rozumiemy twego paplotu, mógłbyś się natenczas posunąć z wyjścia i wypuścić nas z tej zimnej jaskini? Bo aż mnie już od tej wilgoci korzonki się odzywają czuję...

Yonglam przygotowany był na to, że demon będzie próbował kolejny raz mu się wymknąć, dlatego rozłożył ramiona i oparł się rękoma o kolumny, zamknął oczy i resztką sił starał się przygotować na spodziewany atak. Widząc to dziwne zachowanie, Jagoda spojrzała na Jantosia, wzruszyła ramionami i ruszyli oboje w kierunku arkady.

- Tworzę wokół siebie nieprzenikalny mur myślowy, który ochroni mnie przed twą diabelską mocą, nie waż się podejść bliżej! - zaryczał pustelnik.

Jantoś zawahał się, niezrozumiałe słowa wzbudziły w nim niepokój. Jagoda dostrzegła to i wyraźnie rozwścieczona już całą sytuacją, złapała mocno Jantosia za ramię i popchnęła go w stronę Yonglama, zaciskając zęby ze złości. Czarownik spanikował. Tyle lat poszukiwań, tyle godzin spędzonych na medytacjach i modlitwach, tyle mrocznych rytuałów odprawionych w tym celu - nagle poczuł, że wszystko to nie miało najmniejszego sensu, że moc goblina, jego zawziętość i śmiałość przerażają go i starcie z nim po prostu go przerasta. W jednej chwili puścił kolumny i zaczął uciekać, krzycząc wniebogłose. Pasterze weszli do przedsionka jaskini, z którego widzieli wysokie góry pokryte śniegiem i spostrzegli wtedy, że nie może to być ich okolica. Jagódka już nabierała powietrza w płuca, by zacząć krzyczeć na swego małżonka, że co on sobie wyobraża i co oni teraz poczną, gdy do jaskini wszedł Stichus. Spojrzał na ludzi, ukłonił im się z zakłopotaniem, zatoczył rękami koło i stworzył w ten sposób portal, wyglądający jak swoiste lustro, iskrzące się dziwnym, zielonkawym światłem. Zachęcił ich do wejścia w niego i sam wskoczył ostatni; po chwili byli już na górskiej polanie, gdzie wesołym szczekaniem przywitał ich Baruś. Jagoda wyściskała Stichusa jako swego wybawcę, na męża nawet nie spojrzała; nie oglądając za siebie, ruszyła w stronę swej chaty. Jantoś z poważnym wyrazem twarzy podał mu rękę i w milczeniu kilkakrotnie uściśnął żylastą łapę goblina.

- Zaproponowałbym ci, żebyś został, ale wiesz, jakie są kobity... - uśmiechnął się smutno. Stichus zrozumiał.
- Jaaaantoś, wołasz goblina do domu, czy nie?! - w tej samej chwili zakrzyknęła Jagoda. - Przeca z tobą to wysiedzieć nie idze, przyda się ktoś rozumny w tej chałupie!

Tak to zaginał ślad po ostatnim potężnym czarowniku, natomiast ostatni goblin na świecie nie pomógł nikomu zdobyć nad nim władzy, a odnalazł swoje miejsce wśród zwykłych ludzi, i wiodł swój żywot spokojnie, póki nie powrócił na łono nieśmiertelności...

Katarzyna Krześnicka